

Zbigniew Stawrowski: O zapomnianej solidarności

Dla aktorów gry politycznej pytanie o wspólnotę ludzi dobrej woli, o solidarność sumień, brzmi śmiesznie. Nieważna jest wiarygodność i zaufanie, lecz to jakie ktoś reprezentuje interesy, czy jest dzisiaj naszym sojusznikiem, czy naszym politycznym wrogiem. W świecie tak rozumianej polityki nie ma miejsca na solidarność – jest jedynie miejsce na jej zinstrumentalizowaną parodię – uważa Zbigniew Stawrowski. W „Teologii Politycznej Co Tydzień” Nr 47 pt. Co z solidarnością społeczną? przeczytaj fragment książki Zbigniewa Stawrowskiego zatytułowanej „Solidarność znaczy więź”.

Dzieje ludzkości można rozumieć jako ciąg wydarzeń, w których idee krążące po świecie zadamawiają się w nim na stałe, nadając mu zupełnie nową postać. Takie uniwersalne idee jak choćby: wolność, demokracja, równość, tolerancja, nie pojawiły się nagle, lecz stopniowo dojrzewały, aby w pewnym konkretnym miejscu i czasie rozbłysnąć z taką mocą, że powrót do starego świata był już od tej pory niemożliwy. Te przełomowe wydarzenia na zawsze powiązały w naszej świadomości owe idee z miejscem, gdzie w pełni rozkwitły. Myśląc o demokracji, słusznie kojarzymy ją ze starożytnymi Atenami, z Francją i jej rewolucją kojarzymy hasło: wolność, równość i braterstwo. W 1980 roku w Polsce rozbłysła idea solidarności. Po latach, jakie minęły od tego czasu, warto się zastanowić, czy było to wydarzenie naprawdę

historycznej miary - wydarzenie, które miało i ma sens uniwersalny. Najważniejsze jest jednak, by zrozumieć, czego tak naprawdę byliśmy wówczas uczestnikami i świadkami.

Oczywiście samo słowo „solidarność” nie jest żadnym polskim wynalazkiem, lecz należy do wspólnego dziedzictwa naszej cywilizacji. Spokrewnione ze słowem *solidus* pochodzącym od łacińskiego *solidus* – tj. mocny, trwały a w odniesieniu do człowieka – rzetelny, godny zaufania, pojawiło się w XVII wieku w języku prawniczym na określenie więzi pożyczkodawców wobec dłużnika[1] i po dziś dzień funkcjonuje w językach europejskich na oznaczenie prawnej współodpowiedzialności w prowadzonych wspólnie interesach i podejmowanych wspólnie zobowiązaniach. W XIX wieku terminem „solidarność” zaczęły posługiwać się ruchy społeczno polityczne, którym zależało na podkreśleniu znaczenia więzi, nie zaś konfliktów, pomiędzy różnymi grupami społecznymi. We Francji był to ruch niemarksistowskich socjalistów - solidarystów reprezentowany przez Pierre’a Leroux, Léon Bourgeois, Augusta Comte’a oraz Emila Durkheima. Później w Niemczech rozwinął się solidaryzm katolicki, głoszony przez jezuitów Heinricha Pescha, Gustava Grundlacha i Osvalda von Nell Breuninga, których zasługą jest to, że od pontyfikatu Piusa XII pojęcie „solidarności” stało się trwałym elementem społecznej nauki Kościoła. W nowym Katechizmie Kościoła Katolickiego możemy przeczytać następujące słowa: „zasada solidarności nazywana także „przyjaźnią” lub „miłością społeczną” jest bezpośrednim wymaganiami braterstwa ludzkiego i chrześcijańskiego.”[2] Znajdujemy tu oczywistą wskazówkę, że treść słowa „solidarność” nie zamyka się w samym tym pojęciu, że to, co dziś nazywamy solidarnością, bywało i nadal bywa nazywane również przy pomocy innych określeń.

Czy polskie doświadczenia istotnie przyczyniły się do pogłębienia owej skądinąd powszechnie znanej idei, skoro po trzech dekadach od narodzin ruchu solidarności, wydaje się, że pozostało po nim niewiele poza co najwyżej pięknym wspomnieniem? Wielu z dawnych uczestników tego ruchu wręcz się od idei solidarności zupełnie odwróciło. Są również tacy, którzy publicznie wątpią, czy taka idea kiedykolwiek kogoś łączyła, czy nie była ona jedynie złudzeniem, a jedność społeczeństwa w tych pamiętnych dla Polaków kilkunastu miesiącach 1980 i 81 roku była jednością chwilową i w gruncie rzeczy pozorną, zbudowaną tylko i wyłącznie na negacji wspólnego totalitarnego wroga. Jeden ze znanych polskich socjologów stwierdził niedawno, iż dziś zupełnie nie potrafi wyjaśnić fenomenu solidarności i że najwłaściwszą kategorią na jego opisanie, wydaje się kategoria cudu. [3] W tym uczciwym przyznaniu się do intelektualnej bezradności należy dostrzec i docenić również i to, że nie próbuje się tu fałszować rzeczywistości i redukować jej do jakiejś gotowej już teorii zachowań społecznych. Cud solidarności naprawdę miał miejsce i są na szczęście jeszcze ludzie, którzy go pamiętają i są gotowi o tym zaświadczyć.

Czym była owa idea poruszająca wówczas nie tylko Polskę, ale za jej pośrednictwem również cały świat? Czym było doświadczenie, które tkwiło u jej podstaw? Niestety w gorączce wydarzeń, nikt tego dokładnie nie nazwał, a nienazwane idee, które pojawiają się wśród ludzi bardziej jako przeczucia niż myśli ujęte w kształcie pojęć, zbyt szybko ulatują w niebyt. Jednym z niewielu, a może nawet jedynym, który próbował tego dokonać na gorąco, był ks. Józef Tischner. To do jego przemyśleń z „Etyki solidarności” nawiązał później Jan Paweł II w encyklice *Sollicitudo rei socialis*, a zwłaszcza w czasie pamiętnej wizyty w 1987 roku w Polsce, gdy mówiąc „nie tylko do nas, ale i za nas”,

odślaniał przed nami chrześcijański sens solidarności zawarty w wezwaniu św. Pawła z listu do Galatów (6,2): „jeden drugiego brzemiona noście”.

Myśl Tischnera wydobyla z doświadczenia solidarności kilka istotnych momentów. Przede wszystkim zwracała uwagę na to, że solidarność wyrasta na podłożu fundamentalnego poczucia wspólnoty między osobami. Kiedy owo poczucie wspólnoty staje się świadomym wyborem, kiedy człowiek rozumie, że tak naprawdę nigdy nie jest sam, wtedy dopiero rozkwita solidarność. Doświadczenie solidarności posiada zatem głęboki wymiar etyczny. Jest zrozumiałe tylko w perspektywie dobra, które rodzi się w wolności i z wolności. Solidarności nie potrzeba i nie można narzucać. Rodzi się ona spontanicznie, bo jest wyrazem dobrej woli człowieka. Solidarność to „spontanicznie powstała wspólnota ludzi dobrej woli”[4] – „najgłębsza solidarność jest solidarnością sumień”[5]. Dlatego jest ona budowaniem i tworzeniem a nie walką czy niszczeniem. Nie potrzebuje ona wroga, zwraca się do wszystkich i działa dla wszystkich, a nie przeciwko komukolwiek.

Te etyczne intuicje stanowią zasadniczą ramę dla wszelkiej refleksji nad ideą solidarności. Warto je uzupełnić o te aspekty czy zjawiska, które wydają się istotne, by dostrzec wagę i znaczenie tego, co wydarzyło się w Polsce przed kilkadziesiąt laty.

Dla uchwycenia specyfiki polskiego ruchu solidarności warto odnieść go do innych pozornie podobnych masowych zjawisk. Wielkie wydarzenia społeczne związane z mobilizacją i zaangażowaniem ogromnych ludzkich zbiorowości, są zazwyczaj efektem wcześniejszej pracy przygotowawczej ideowych elit oraz z obecnością szeroko rozumianych ideologii, które nadają kierunek tym wydarzeniom. Jeśli

natomiast owe wystąpienia stanowią spontaniczną, wywołaną jakąś konkretną przyczyną reakcję, jako gwałtowny społeczny odruch niezadowolenia mają one w naturalny sposób niszczący charakter. Przebieg wydarzeń w Polsce zupełnie nie pasuje do tego scenariusza. W 1980 roku wybuch nastąpił spontanicznie i wyraził się budowaniem i tworzeniem. Zadziwiająca była przede wszystkim owa spontaniczność, która momentalnie przemieniła cały kraj i uczyniła go krajem ludzi wolnych. Solidarności nikt przecież nie głosił i nie nauczał – nie było żadnej ideologii ani ideologów solidarności. Nasuwa się odpowiedź, że solidarność nie potrzebowała tego wszystkiego, ponieważ jej korzenie znajdowały się dużo głębiej. W roku 1980 zostało obudzona - i to na skalę masową – tkwiąca w każdym człowieku twórcza energia, która szukała ujścia nie w destrukcji, lecz w pozytywnym dziele. Przypomnijmy jeszcze raz słowa Tischnera: „Solidarność to spontanicznie powstała wspólnota ludzi dobrej woli”.

Nie da się również w pełni zrozumieć znaczenia Solidarności bez ukazania jej historycznego i politycznego kontekstu. Solidarność to ruch, który zrodził się w świecie rządzonym przez komunistów. W czasach, gdy w wolnym świecie panowało przekonanie o trwałości i nieuniknionej ekspansji komunizmu, gdy jedni, nie mogąc się go doczekać, wołali: „besser rot als tot”, inni zaś uważali, że zwyciężyć go można tylko siłą i szykowali program „wojen gwiazdnych”, w Polsce znaleziono nań lekarstwo. By posłużyć się metaforą - zaatakowany rakiem organizm, zaczął sam, swoją wewnętrzną witalnością zwyciężać chorobę. Nie tylko zdrowe jeszcze komórki nabierały siły, ale nawet martwe tkanki zaczęły ożywać. Proces zdrowienia był wewnętrznie nie do powstrzymania. Przerwać go mogła i faktycznie przerwała jedynie interwencja zewnętrznej siły.[6] W tym sensie przymiślenie doświadczenia solidarności jest kluczowe dla tych wszystkich, którzy pragną zrozumieć komunizm i w ogóle totalitaryzm oraz to wszystko,

co czynił on z ludźmi i łączącymi ich więziami. Jest kluczowe, bo solidarność to nie tylko przeciwieństwo totalitaryzmu, ale i jego przewyciężenie. Warto o tym pamiętać, żyjąc w świecie, w którym nie sposób lekceważyć groźby pojawienia się nowych form totalitarnego panowania.

W jaki sposób solidarność radziła sobie z komunizmem? Dochodzimy tu być może do najważniejszego momentu doświadczenia Polski lat 1980-81. Moment ten, choć wówczas wyraźnie obecny w powszechnej świadomości, został dziś niemal zapomniany. Po części przyczyniła się do tego sama historia. Traumatyczne doświadczenie stanu wojennego przesłoniło pamięć okresu wcześniejszego. Po 13 grudnia wzajemna solidarność wyrażała się przede wszystkim jako imperatyw pomocy potrzebującym, cierpiącym i więzionym. Nic dziwnego, że nie tylko w niedzielnych kazaniach ale i w refleksji etycznej sens tego słowa ilustrowano zazwyczaj przypowieścią o miłosiernym Samarytaninie. Jest w tym z pewnością zawarta głęboka prawda. Imperatyw pomocy jest dla ludzi solidarnych rzeczą oczywistą. To oblicze solidarności, które ukazało się z ogromną siłą po wprowadzeniu stanu wojennego, miało także – co dobrze pamiętamy - wymiar międzynarodowy, uczestniczyli w niej również nasi przyjaciele z Zachodu. Ale solidarność, która w czasach takiego czy innego kataklizmu przejawia się jako współczucie i miłosierdzie, ma również i może przede wszystkim swój całkiem normalny wymiar, ten właśnie, który bezsprzecznie dominował w latach 1980-81.

Owo doświadczenie normalności, które sprowadzało się do potrzeby rzetelnego spełniania najprostszycy obowiązków, było czymś uderzającym. Po latach funkcjonowania w świecie ideologii, marnotrawstwa i przemocy, gdzie dominującym poczuciem była

beznadziejność i bezsens, ludzie odkryli nagle, że ich życie i praca mają jednak sens i mogą przynosić dobre owoce. Odsłoniła się przed nami nowa rzeczywistość. Polska stała się dla nas wielkim wspólnym domem, za który poczuliśmy się współodpowiedzialni. Ta współodpowiedzialność wyrażała się bardzo konkretnie, w trosce o swoje najbliższe otoczenie, o zakład pracy, szkołę, uczelnię. W efekcie, w lokalnych wspólnotach - przede wszystkim wspólnotach pracy - tworzyły się i rozwijały różnorodne oddolne struktury, w których ludzie - już nie „siła robocza”, lecz wolne i samodzielne osoby – dyskutowali o swoich sprawach i o nich decydowali.

Skupieniu na własnym polu odpowiedzialności towarzyszyło jednak głębokie poczucie współzależności, świadomość tego, że wszyscy płyniemy na jednej łodzi, na której pełniemy różne, ale równie niezbędne funkcje. Świadectwem takiego myślenia, były chociażby ówczesne strajki solidarnościowe. Wśród ludzi solidarności panowała zgoda, że przedstawiciele zawodów służebnych wobec społeczeństwa – nauczyciele, lekarze, pracownicy służb komunalnych – właśnie ze względu na odpowiedzialność za całą wspólnotę, nie mogą protestować przerywając pracę. Ich słuszne postulaty, w tym samym poczuciu odpowiedzialności za całą wspólnotę, były podejmowane i broniące, przez inne grupy zawodowe.

Poczuciu odpowiedzialności, zarówno za własne lokalne środowisko jak i całą wspólnotę, towarzyszyło przekonanie i ufność, że również i inni – każdy we właściwym sobie miejscu – podjęli to samo wyzwanie i troskę, że praca porządkowania domu jest współpracą, a odpowiedzialność – współodpowiedzialnością. To doświadczenie było w pewnym sensie głęboko niepolityczne, ponieważ w ogromnej mierze poczucie odpowiedzialności ludzi solidarności realizowało się w tych

ograniczonych lokalnych polach działania i nie pociągało za sobą ambicji rozszerzenia tego pola aż do wymiaru bezpośredniej odpowiedzialności za państwo jako takie. Oczywiście byli i ci, których polem odpowiedzialności w tym czasie okazała się właśnie polityka, a konkretnie - nieustanne negocjacje z komunistycznymi władzami. Jednak w gruncie rzeczy to społeczne zaufanie, jakim cieszyli się wówczas przywódcy związku i które stanowiło ich jedyny mandat polityczny, było częścią ogólnej wiary w dobrą wolę ludzi oraz powszechnego przekonania, że każdy na sobie właściwym miejscu, będzie robił swoje, najlepiej jak potrafi.

To właśnie, że „każdy robił swoje” okazało się najskuteczniejszym sposobem na komunistyczną władzę. Solidarność radziła sobie z komunizmem w ten sposób, że go ignorowała. Jak pisał ks. Tischner: „Las zwalcza przeciwników w ten sposób, że rośnie.”[7] Władza stała się w dużym stopniu zbędna i nie mogła tego znieść. We wspólnym domu dotychczasowi zarządcy wprawdzie nadal pozostali, ale oddając niemal całą otwartą przestrzeń ludziom solidarności, znaleźli się niejako w piwnicy, skąd wyłączali światło, zakręcali wodę i robili wszystko, aby przeszkodzić temu, by ludzie mogli w nim normalnie mieszkać i spełniać spokojnie swe codzienne obowiązki. W końcu w okna domu na powrót wstawiono kraty i zarządcy, którym groził śmietnik historii, znowu poczuli się ważni i potrzebni. Natomiast, ci którzy wierzyli, że niezależnie od wszystkiego należy po prostu robić swoje, stanęli wobec pokusy zwątpienia. Narzucała się prosta odpowiedź, że tak naprawdę i do końca będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy od władzy usunie się komunistycznych nadzorców.

Od czasu stanu wojennego idea solidarności zmienia swój charakter, z jednej strony przejawia się jako powszechna pomoc potrzebującym, z drugiej natomiast zastąpiona zostaje przez ideę walki politycznej. Władza komunistyczna nie jest już ignorowana – staje się dla wielu znienawidzonym wrogiem. Wielu ludzi „konspiracyj”, odnajduje sens własnego życia niemal wyłącznie w „knuciu” przeciwko władzy. To właśnie staje się największym zwycięstwem komunistów: sami opętani obsesją władzy, zarażają nią innych. Stopniowo ludzie solidarności odchodzą w cień, coraz bardziej zastępują ich ludzie myślący w kategoriach władzy, początkowo chodzi o to jak ją osłabić, później jak ją odebrać. Solidarność przegrywa z polityką. W pewnym sensie przełom roku 1989 nie jest tak bardzo istotny. Polityka strajków, demonstracji ulicznych, głodówek, zostaje zastąpiona polityką w ramach systemu wielopartyjnej demokracji. Zwycięski *homo politicus* zmienia jedynie ubranie.

Dla aktorów gry politycznej pytanie o wspólnotę ludzi dobrej woli, o solidarność sumień, brzmi śmiesznie. Nieważna jest wiarygodność i zaufanie, lecz to jakie ktoś reprezentuje interesy, czy jest dzisiaj naszym sojusznikiem, czy naszym politycznym wrogiem. W świecie tak rozumianej polityki nie ma miejsca na solidarność – jest jedynie miejsce na jej zinstrumentalizowaną parodię, solidarność jako hasło bojowe przeciwko politycznemu wrogowi. Nie znaczy to jednak, że wśród solidarnych ludzi nie ma miejsca na solidarną politykę, na to, by każdy - także w sferze publicznej - robił swoje, w poczuciu odpowiedzialności za całą wspólnotę. Pytanie, czym miałyby być taka polityka, jest jednocześnie pytaniem o zapomniany publiczny wymiar solidarności.

Powyższy tekst ukazał się w książce Zbigniewa Stawrowskiego pt. „Solidarność znaczy więź” wydanej przez IMJT Kraków 2010.

[1] Hugues Puel, *Solidarity between Employers, Employees and the Unemployed, Societas Ethica, Jahresbericht 1997, Solidarität und Sozialstaat*, Zuerich 1998, s. 177

[2] Katechizm Kościoła Katolickiego, Pallottinum, Poznań 1994, s. 448

[3] M. Subotic, Cała polityka sprowadza się do boksu. Rozmowa z Pawłem Śpiewakiem, Rzeczpospol. 24.06.2000

[4] J. Tischner, *Etyka solidarności*, Kraków 1981, s. 90

[5] Tamże, s. 8.

[6] Warto przypomnieć, że ówczesna władza, wycofując się z odpowiedzialności za życie społeczne i gospodarcze, jednocześnie robiła wszystko, by solidarnościowa zaraza nie przeniknęła do wnętrza wojska i milicji. Zewnętrzność siły, o której tutaj mowa, oznacza ulokowanie jej poza odradzającym się społeczeństwem. Pytanie, gdzie faktycznie znajdował się ośrodek decyzyjny, który zdecydował o wprowadzeniu stanu wojennego - czy w Warszawie, czy w Moskwie - nie ma w tej perspektywie większego znaczenia.

[7] J. Tischner. Etyka solidarności, wyd. cyt., s .88